

ROLA

Rok IV.
Kraków, dnia 10 lipca 1910 r.
Nr. 28.

TYGODNIK OBRAZKOWY NA NIEDZIELĘ KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — **Prenumeratę** przyjmuje **wyłącznie** Administracya »Roli«, Kraków ulica Garncarska l. 1. Cena drobnych ogłoszeń 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy.
Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.**

Dzieci w czasie wakacyi.

A więc przyszedł już czas, w którym szkoły zamknęły swe podwoje i rozpuściły dziatwę na letni wypoczynek. Rozpierzchła się ta czereda krzykliwa po wioskach i miasteczkach, szczęśliwa, że umysł jej odetchnie trochę i nabierze świeżych sił do nowej nauki.

Tak to niby być powinno, ale czy tak jest?

Otóż rzeczywiście dziatwa nasza w czasie tych dwumiesięcznych wakacyi odpoczywa duchowo, ale nie odpoczywa cieleśnie. I nic dziwnego, bo czas wakacyi, to czas największych prac rolniczych, to chwila największego zapotrzebowania rąk do pracy. To też rodzice zabierają swe dziatki do żmudnej pracy, lub powierzają na cały dzień pod jej opiekę bydełko.

Jakkolwiek nadużywanie sił młodego dziecięcia, chociaż często konieczne, nie jest ani dobre, ani korzystne, ponieważ jednak w wielu wypadkach nie da się uniknąć, przeto nie chcemy na tem miejscu przeciw temu występować. Należy atoli zwrócić uwagę rodziców na inną stronę, na stronę ważniejszą, bo duchową ich dzieci.

Wiemy wszyscy dobrze, że małe dziecię, to jest jakby ta roślinka jeszcze niewykształcona i nierozwinięta, którą dopiero pielęgnować i kształcić potrzeba, aby z niej wyrosło owocne drzewo. Dopóki to dziecko pozostaje w szkole, pod opieką nauczycieli, dopóty ono nie nagina się ku złemu, bo tam otrzymuje stosowne nauki, rady i pouczenia. Uczęszczając do szkoły podlega jej wpływowi i w godzinach pozaszkolnych, obawiając się, aby jego niewłaściwego się zachowania nie zdradzili przed nauczycielem jego właśni towarzysze.

Cóż jednak dzieje się, gdy to dziecko wyjdzie w czasie wakacyi z pod kontroli nauczycielskiej? Oto rodzice powierzają mu pasienie bydełka i o nic więcej się nie troszczą, ale tylko, by to bydełko przyszło w południe i wieczór najedzone, by sąsiadowi szkody nie zrobiło i t. p. Ale o dziecko samo, o duszę jego nic się nie troszczą, a to właśnie jest złe, strasznie złe, i temu trzeba czemprędzej zapobiedz, aby potem nie było zapóźno.

Dziecię puszczone samopas pośród zepsutych pastuchów, które szkoły i nauki nie znają, zakaża się wśród nich jadem zgorszenia i choć wolno, ale stale stacza się w bagno występku i grzechu.

Opowiadał nam jeden światły i zacny kapłan, który życie strawił wśród ludu wiejskiego, że dzieci ani połowę tych grzechów nie popełniają przez 10 miesięcy szkolnych, jakie popełniają przez dwa miesiące wakacyjne. I szczerze wierzę!

Podczas roku szkolnego ma to dziecię zajęty umysł nauką, to nie mają doń przystępu łatwego głupstwa, ale gdy się pozbędzie pracy umysłowej, to myśl jego nie może pozostać bezczynną, ale chwytając wszystko, co zasłyszy, pieści się i bawi tem. A że od pastuchów nie usłyszy nic dobrego, więc chwyta zło, pogłębia i utrwala w umyśle przynosząc sobie nieobliczalne szkody.

Ale teraz zachodzi pytanie: Czyż niema na to rady, aby temu zapobiedz?

Rada jest i nietrudna, lecz tak mało, tak rzadko używana: Pomijam, że dozór nad pastuchami powinien być konieczny, bo by mi powiedziano, że na to niema czasu, ale powtórzę wam radę, jaką raz w tej sprawie wyrzekł pewien światły włościanin:

Oto jego słowa:

Wiem, że zła dziewczyna, zły chłopiec nie stał się złym nigdzie indziej, tylko na pastwisku przy bydle. Aby moje dzieci od tego uchronić, daję im zawsze w pole za bydełkiem jakąś małą książeczkę lub pouczającą gazetkę i polecam, aby mi to przeczytały. Wieczorem w paru słowach zapytuję o treść i w ten sposób zabezpieczam dzieci od zguby. Dzieci moje tak się rozlubowały w czytaniu, że jest ono im najmilszą rozrywką.

Jakież to rzeczywiście rodzicielskie postępowanie, jaka prawdziwa miłość ku dzieciom!

Niestety, kto był przez kilkanaście lat na wsi i pracował nad wychowaniem dziatwy, ileż razy widział, jak matka wyrywała dziecku książkę z ręki, gdy to chciało ją wziąć za bydełkiem. O zaiste, matki takie, to nie matki, ale morderczynie swych dziatek.

Dużoby było o tem pisać i mówić, ale miejsce na to nie pozwala; muszę jednak na zakończenie jeszcze raz odezwać się do ojców i matek: Nie spuszczajcie z oka swych najdroższych w czasie wakacyi, baczcie na nie i pilnujcie ich, abyście kiedyś gorzko nie żałowali swej nieoględności. Trud poniesiony przy wychowaniu dzieci przyszłość sowicie wam wynagrodzi. Dajcie dzieciom za bydełkiem pouczające gazetki i książki do czytania, a wydatek poniesiony na zakupno iah wróci się stokrotnie.

Krzyżacy na Litwie.

XXXIV. SWADŹBA.

Radość Lezdejki. — Święto Dożynku. — Co Pojata, powróciwszy, zastaje w domu. — Oświadczyny księcia Daniela. — Odmowa Pojaty. — Gniew starosty.

Kiedy tak wielkie zamiary zajmowały Jagiełłę, Lezdejko, nie domyślając się żadnych odmian, spokojne dni pędził w Kiernowie przy ukochanej córce. Tyle nadzwyczajnych wypadków, których obrót smutny i szczęśliwy razem, zdał się zapowiadać łaskawszą odtąd bogów nad jego ojczyzną opiekę, przejmowało serce jego wdzięcznością. Powiększało błogość tego stanu mylne rozumienie jego o uczuciach Jagiełły, któremi mniemał go być dla swej córki przejętym. Cieszył się nadzieją zbliżających się do skutku najdroższych swych życzeń i tem żywszej poddawał się radości, iż nie był niewiadomym, jak książę codzień więcej podoba sobie w portrecie, który mu tak żywo przypominał Pojatę.

Te myśli zrodziły w nim przekonanie, że jeśli dotąd Jagiełło nie odzywał się o rękę obcego państwa księżniczki, pochodziło to stąd, że uległ wdziękom Pojaty i że już ona umiała wybór jego postanowić. Czuł też, że przyłożeniem się do powrotu jego na tkliwą wdzięczność zasłużył. Potwierdzać zdawały się tę prawdę w umyśle ojca, bardziej niż kiedy, uprzejme dla niego zabiegi Jagiełły i troskliwość, z którą książę w czasie ostatniej jego w Wilnie bytności dopytywał się o córkę i przyczyny, które ją zatrzymały w Kiernowie.

Długo szanowny kapłan w tym miłym błędzie zostawał. Już zboża z pól zebrane, napełniając rżyska długiemi szeregi złożonych w kopy i mendle snopów, przypominały rolniczemu ludowi dziękczynne za plon ofiary. Zbliżało się uroczyste święto Dożynku, przeznaczone na uczczenie boga Ziemnika, chlebodawcy Litwy. Każdy właściciel ziemi, każdy gospodarz w tym dniu błogosławionym z czeladką na zagonie swoim niósł mu wdzięczne ofiary. Ciwun kiernowski, dopełniając powinności tak świętej, na ten obchód doroczny sprosił mieszkańców i sąsiadów na błonia pańskie. Dzień był jasny i cichy; cała się ludność zgromadziła na zielonem Wilii pobrzeżu. Pobożny Lezdejko chciał osobiście, jak zwykle, przewodniczyć ofiarom; lecz lekka słabość nie dozwoliła mu tej posługi dopełnić; wysławszy zatem na miejsce swoje jednego z kapłanów, pozostał w domu.

Pojata, przyzwyczajona święcić z przykładną pobożnością wszelkie religijne obchody, znajdowała się z ciwunową na miejscu ofiar, lecz dla zbytniego tłoku nie mogąc się dostać do środka, przejęta uszanowaniem, zdaleka patrzyła na uroczystość obrządku. Myśli jej pobożne, nieoddzielne nigdy od tajemnic wiary, zajęte były już to dziękczynieniem za ocalenie swoje w czasie napadu, prośbą za ojca i przyjaciela, już poświęcone tkliwemu wspomnieniu Sławeńki. Przerwał te święte dumania, biegnący ku niej wesoło orszak dziewic, z uwiadomieniem, iż ją, jako najpiękniejszą, wybrały do złożenia ofiary bogini Wajżgancie, dziękując jej za tegoroczne przędziwa. Z nieśmiałością i zarumienieniem przyjęła Pojata z rąk ich wieniec lnu rozkwitłego, świeżo spleciony na niwach Kiernowa i posłuszna wezwaniu, udała się z niemi na blizki zagon, który w tym roku najpiękniejszy len zrodził. Tam, ubrana stosownie do obrządku, stanęła na wyciętym z wierzchołka dębu trójnożu i dopełniła ofiary przez polanie zagonów piwem, poczem dziewczęta długo tańcowały.

Tymczasem pobożna drużyna zajmowała miejsca u stołów, które świeżem potrzęsione sianem, białemi pokryte obrusy, mnóstwo na sobie różnego rodzaju mięsiwa dźwigały. Gdy już uczta była przy końcu, jedni z biesiadników w długie trąby grali, inni twarz w twarz obróciwszy ku sobie, smutno śpiewali pochwały zeszłych, przyszłych i krewnych.

Niespokojna Pojata o zdrowie ojca, nie czekając końca biesiady, pożegnała towarzyszki i z ciwunową wracała do siebie. Wchodząc w bramę zamkową, mocno zdziwioną została, postrzegłszy kilka jezdnych koni w bogatym rzędzie, po dziedzińcu wodzonych przez strojnych służalców.

— Cóż to za ludzie? — pytała ciwunowej — może to Krzyżacy?

— Gdzieżby zaś Krzyżacy — odpowiedziała niewiasta — przecież oni mają białe płaszcze i czarne kaftaniki, a ci są w zielonych żupanikach. Ale co widzę! — mówiła, wpatrując się we drzwi — bogowie! karzcie zawsze dziewice takiemi strachy; patrzno panno! wszak to biała chorągiew u drzwi zatknięta! Wejdźmy, wejdźmy czemprędzej!

Pojata długo kroku zrobić nie śmiała. Biała chorągiew, znak tyle pożądany w domu każdej dziewicy, tyle pochlebiający miłości własnej, przykre owszem na niej czynił wrażenie. Szczęściem spostrzegła wychodzącego ze drzwi Ruńka, zawołała go, pytając, co to są za goście.

— A jużci nie co, tylko dziewosłęby — odpowiedział pełen radości chłopiec.

— Któż ich przysyła? — pytała dziewica.

— Albo ja wiem. Ale, żeby panna wiedziała, jak wielkie skarby przywieźli, jak pięknie grają, skaczą, a nadewszystko jak śmieszne rzeczy prawią; doprawdy! jabym chciał, żeby oni nigdy nie wyjeżdżali.

— Czy mój ojciec przyjął ich dary?

— Gdzietam! jegomość siedząc w swem krześle, wszystko do panny odkłada, ale bo też biedny jegomość dziś jest gorzej na oczy, może ich dobrze nie widzi. Niechno tylko panna wejdzie.

Ciwunowa także wejść radziła, aby już czemprędzej zobaczyć tych gości. Pojata nadto była pewną postanowienia swego, żeby się lękała najpoważniejszych oświadczeń; czuła także, iż ojciec swojej woli od życzeń córki pewnie nie odłączy; sama jednak nie wiedziała, dlaczego widok białej chorągwi tak żywo serce jej ranił. Zasmucała ją prócz tego odmówienia potrzeba, a choć wcale nie była wiadomą, komu się miała szczęście podobać, odmówienie komukolwiek, choćby rzeczy najmniejszej, zawsze ją kosztowało.

Tymczasem, widząc nieodzowną konieczność stawienia się, weszła zmieszana z ciwunową do izby. Widok bogato strojnych czterech rycerzy i kosztowne dary w bławatach, srebrze i złocie, rozłożone na stole, przykro ją uderzył. Drżąca, zbliżywszy się do ojca, ucałowała rękę jego i skromny gościom oddała ukłon.

— Kazałeś mnie wołać, kochany ojcze — rzekła nieśmiało — byłam na ofiarach i stawię się na twoje rozkazy.

— Moja córko! masz niespodzianych gości; bogowie ci swatów zsyłają; do ciebie należy dać im odpowiedź. Mów szczerze i śmiało, a twoja odpowiedź będzie i moją.

Tu, wystąpiwszy naprzód starosta swadziebny, niski dziewicy ukłon uczynił i w te słowa głos zabrał:

— Najpiękniejsza, najczystsza, najmilsza bogom i ludziom dziewico! Książę Daniel, siostrzan przesławnej pamięci Kiejstuta, pan nasz, ujęty twemi wdziękami, twoją pobożnością i twą dobrocią, która cię po całej rozsławiła Litwie, przysyła nas do ciebie z temi darami, prosząc najpokorniej, abyś sercem

jego gardzić nie raczyła. Od tej pory, jak cię, pani, ujrzał przeszłej jesieni na łowach, kiedyś zbłądzonemu drogę ukazała, ani jednej nie miał chwili, w którejby o tobie nie myślał. A choć wie Żmudź cała, jak jest bogaty i możny, choć jest siostrzanem Kiejstuta, wnukiem Gedymina, kiedy mu przychodzi o twoją rękę się odzywać, lęka się, żebyś śmiałem żądaniem nie nazwała jego nadziei, bo któryż jest na świecie tak dzielny rycerz, tak potężny mocarz, któryby dość był godzien ciebie? Ale pani! on też wszystko czynić przyrzeka, aby stał się ciebie godnym. Będziesz panią obszernych włości i księżną na mnogich zamkach; tysiące sług będą czekać twoich rozkazów, a dzień każdy zaczynać będzie nowe rozkosze; przyjm więc te dary jako zadatek tkliwych dla ciebie Daniela chęci, a nim dasz ostateczną odpowiedź, pozwól, pani! żeby książęce skoczki, których dla ciebie przysyła, dobrej ci myśli dodały.

Natychmiast dwa małe karzełki, z dzwonkami na głowie, złotem i purpurą okryte, jeden z bandurką, drugi z piszczałką, raźnie wyskoczywszy z zawieszonej zapony, wesoło grając, hulać po izbie za częły. Granie ich przeplatały śpiewki o wdziękach Pojaty, waleczności Daniela i rozkoszach kochania. Wystąpił i trefniś*) dziwacznie ubrany, który, przedrzeźniając pieśniom, różne prawił śmieszności. Na dźwięk muzyki zeszła się czeladź domowa, wszyscy się cieszyli tak rzadkim widokiem; ciwunowa dziwiła się, Ruńko się unosił, Danuta zachodziła od śmiechu, Lezdejko nawet uśmiechał się.

Pojata tylko nieporuszona, stojąc przy ojcu, jakby nic nie widziała, ani słyszała, ciągle ku ziemi miała oczy zwrócone. Po skończonych pląsach wprowadzono młodego niedźwiadka, który na znak dany naprzód nizko skłonił się Pojacie, potem wziąwszy kij w łapki, różne okazywał sztuki i figle. Śmiała się z całej duszy czeladź, dziwiąc się jego zręczności, ale Pojata nie spojrzała nawet. Oczy starosty przez cały czas były na nią tylko zwrócone, a smutny twarzy jego wyraz zdał się zapowiadać kolegom, że już wie wcześnie wyrok swego pana, nakoniec zniecierpliwiony w te się słowa odezwał:

— Śliczna Pojato! raczże nas łaskawszem pocieszyć spojrzeniem, dotknij się przynajmniej tych darów, lub powiedz, może ich wybór nie jest według twej myśli, wnet inne, przyjemniejsze, miejsce ich zastąpią.

— Zbyt drogie to są skarby, przezacny rycerzu! dla prostej jak ja wieśniaczki — odpowiedziała ze stałością Pojata. — Wierzcie mi, nie warta jestem ani tych darów, ani waszej drogi; zabierzcie więc je, a mnie zostawcie w pokoju.

Starosta, gniew swój, ile być może, miarkując, rzekł z podziwieniem:

— Cóż to? Pojata gardzi księciem Danielem? I cóż jest w nim, coby godnem nie było córki Krywekrywejty? Imię, miłość, dzielność, bogactwa, wszystko za nim mówi. Jeżeli zachowujesz dotąd w twem sercu pamięć przeszłorocznej jego pomyłki, pani umiałaś go dobrze ukarać. Mógł być winnym na chwilę, lecz jego nieostrożność czegoż więcej dowodzi, jeśli nie tego, że mu Pojata pod każdą postacią jest miłą? Być może, że upodobanie w łowach jest w nim posunięte daleko, ale to wada najmniejsza; a skoro tak miła, jak ty, pani! dom jego zamieszka, zaniecha on lasów i tobie wszystkie dni życia swego poświęci, wreszcie, jeśli nie obchodzi cię szczęście i ta sława, którąby na dom twój spłynęła, pomnij, pani, na wstyd księcia, który miłość obrażoną w zemstę może zamienić; pomnij też na to, co z nami w zapędzie gniewu uczynić będzie w stanie.

— Nie! — rzekła Pojata — znam szlachetny sposób myślenia księcia Daniela, on bez urazy przyjmie moją odmowę, on, obdarzony wszystkiem, co tylko zalecać może rycerza, pozna odrazu, że nie próżny upór, lecz święte obowiązki nie dozwoliły mi odpowiedzieć jego życzliwej chęci.

— Święte obowiązki? — powtórzył zdziwiony starosta. — Więc już pani przeznaczona jesteś innemu? I któż jest ten, któregoś pani nad księcia przeniosła?

— Nie przeniosłam nikogo nad waszego pana — rzekła niepewnym głosem Pojata. — Od najpierwszej młodości bogom ślubowałam niewinność.

— Książę bierze na siebie przebłaganie bogów — odpowiedział starosta — a za uwolnienie od ślubów, przyrzeka im wystawić świątynię, jakiej jeszcze nie widziała Litwa.

— Bogowie wdzięczni mu będą za pomnożenie ich chwały — odezwał się Lezdejko — ale żadne ofiary od dobrowolnyeh ślubów uwolnić nie mogą.

— Dlaczegóżby nie mogły uwolnić — rzekł inny ze swatów. — Kiejstut, wuj Daniela, także poświęconą uniósł dziewicę, a przecież bogi niemniej błogosławiły ich związkowi.

— Lecz nie błogosławiły ostatniej jego godzinie -- odpowiedział Lezdejko.

— Próżno pani chcesz ukryć uczucie, które się w całej twojej objawia postaci — rzekł z gniewem starosta. — Pozwól powiedzieć, że serce twoje nie bogom należy. Zbierzcie, bracia, te dary! — rzekł do swoich, coraz się większym zapalając gniewem — trudno, żeby się tu na nich poznano, a wy, zbyt pobłażający ojcze! obyście nie żałowali nieuwagi córki!

— O moi przyjaciele! — mówił starzec z boleścią, wyciągając ku nim ręce. — Nie mnie, ani córkę moją, lecz bogów wińcie rozrządzenie święte. Czyż jabym nie rad w mojej starości doczekać się tak godnego, jak książę wasz, zięcia? Komużbym mógł lepiej córkę moją powierzyć, jak Gedymina wnukowi? Ale znać, że bogowie chowają dla niego zacniejszą niewiastę; powiedzcie mu zatem, że te nieszczęsne swaty żalem i goryczą duszę moją napełniły.

— Zachowajcie wasze ubolewanie — rzekł w zapędzie gniewu starosta — wkrótce go sami potrzebować będziecie. Śluby waszej córki są próżnem marzeniem, są pokrywą dumy i wyniosłości, ale nie dla mnie. Nienawiść to nieszczęśliwego Kiejstuta, któregoście z państwa i życia wyzuli, niemiłym wam czyni jego siostrzana, Jagiełło się wam roi po głowie, ten skrytobójca, chcecie córkę waszą widzieć wielką księżną litewską. Niedługo tą nadzieją cieszyć się będziecie, inna go zabierze, która was strąciwszy z wielkości, odda zapomnieniu i nędzy. Wtenczas poznacie swój nierozum, lecz będzie po czasie.

Tak wyrzekając, kazał zdjąć chorągiew z przededrzwi, zwinął ją i schował do sakiew. Lezdejko, przerażony tą odezwą, przypisując jej uniesienie zbytniej gorliwości, wszystkich używał sposobów, aby mógł złagodzić rozjątrzone umysły, zapewniając, że czas i rozwaga przyniesie zmianę w układach księcia, ofiarował posiłek, prosił o zatrzymanie się, ale gniewny starosta nie chciał słyszeć o żadnych grzecznościach i kazawszy podać konie, niezwłocznie z towarzyszami Kiernów opuścił.

Po wyjeździe tak niewczesnych gości rozżalona Pojata rzuciła się w ręce ojcowskie, przepraszając, że zmartwienia jego stała się przyczyną.

— Ty jesteś moją pociechą! — rzekł rozrzewniony starzec — zawsze to tylko czynisz, co moje myśli wyprzedza, co mi radość przynosi! Za cóżbyś

*) Czyli błazen, jaki podówczas znajdował się na każdym dworze królewskim i książęcym.

miała mnie przepraszać? Wkrótce może czas przyjdzie, w którym się najsłodsze nasze spełnią nadzieje.

Wyrazy te i zapewnienia uspokoiły cokolwiek Pojatę, chociaż głęboko w jej myśli utkwiło wspomnienie starosty, jakoby jej ojciec życzył sobie widzieć ją wielką księżną litewską. Nie dzieliła ona nigdy zalotnych dla siebie zabiegów Jagiełły, skromna i obca wszelkim wyniosłości rachubom, przyjmowała grzeczności księcia, za krzywdzącą zatem uważała wszelką wieść ściślejszych z nim związków i dopiero zaczęła szczerze się trapić, gdy się zastanowiła, że portret do niej podobny znajduje się na zamku i jest celem czci i zajęcia Jagiełły.

Ale Lezdejko, pomyślawszy lepiej nad odmówieniem córki, coraz się większą czuł trwogą przejęty. Znał on dobrze potęgę Daniela i wiedział, jak daleko obrażona miłość własna unosi. Zabezpieczała go wprawdzie od napaści świętość jego osoby i władza Jagiełły, lecz kiedy przywiódł sobie na pamięć wyrazy starosty, zapowiadające jego upadek i wdzięki innej piękności, która miała zniszczyć jego nadzieje, niełatwo od nich jednak myśl odrywał i tem smutniejsze z nich wnioski wywodził, iż mu już tajną nie była budowa chrześcijańskiej świątyni w Ponarach. Wiedział prócz tego, że Jagiełło sprowadziwszy na zamek narzeczoną Dowojny, odstępcy wiary, jako też jej ojca, zupełnie oddał się ich radom, a choć nie mógł przeniknąć ich rozmów, odmiana jednak stroju i obyczajów księcia, których dokładny odebrał opis, słuszne mu do najokropniejszych podejrzeń dawały powody.

Tak z jednej strony lękając się Daniela, z drugiej nie ufając Jagielle, nieszczęśliwy starzec w smutnym niepewności zostawał stanie. Nieraz chciał jechać do Wilna, objawić księciu czynione o rękę swej córki starania i użyć tej okoliczności do wyrozumienia jego, lecz sam nie wiedział, co go odpychało od murów stolicy.

Nie uszły baczności Pojaty smutki i niepokój ojca, wiedziała dobrze, co mu dolega, lecz nie chcąc rozraniać serca, to mu tylko mówiła, co go uspokoić mogło. Ale niesnadnie ten udziela pociechy, kto jej sam potrzebuje. Pojata, znajdując się w tym stanie, ponosić jeszcze musiała przymówki oburzonych przyjaciół. Ciwunowa nadewszystko nie mogła darować swej wychowanicy odmówienia Danielowi.

Na wytrzymanie większych jeszcze nieprzyjemności gotowała się w Wilnie, wiedząc wcześnie, jakiem okiem powita ją dwór cały i jakie o stanie jej serca czynić będzie domysły, ale wszystkie te gorycze i trwogi słodziła pewność dopełnionej woli rodzicielskiej i skryta nadzieja, że Trojdan może jej postępek pochwali.

(Ciąg dalszy nastąpi).

HISTORYA POLSKA W OBRAZKACH.

19.

Pomimo, że początkowo była przeznaczoną na tron polski starsza córka Ludwika, Marya, do Polski przybyła Jadwiga, młodsza jej siostra i ją ukoronowano (1384 r.) na królowę polską.

Zaraz po całej Polsce i po sąsiednich krajach rozeszła się nowina o pięknej królowej. Na Litwie panował wtedy wielki książę Jagiełło, który, dowiedziawszy się o piękności Jadwigi, wysłał posłów do Krakowa, by ci przypatrzyli się zblizka Jadwidze. Posłowie ci, ujrzawszy Jadwigę, oznajmili, że ich pana różni już królowie a szczególniej Krzyżacy zachęcali, aby się ochrzcił, ale on nie usłuchał ich i pogardził tą radą; jednakże, gdyby królowa Jadwiga słówko rzekła, że go chce mieć za męża, nietylko, żeby sam dał się ochrzcić, aleby jeszcze ochrzcił Litwę i Żmudź, i swój kraj złączyłby z Polską, jak męża z żoną.

Królowa, usłyszawszy takie mowy posłów litewskich, ledwie trupem nie padła na miejscu, bo od dawna serdecznie kochała Wilhelma, księcia austryackiego, i nawet była mu zaręczoną. Panowie zaś polscy z radością słuchali obietnic Jagiełły. Wyprawiono zatem posłów polskich do Litwy, aby ci się z Jagiełłą porozumieli, i małżeństwo przyprowadzili do skutku.

Nieszczęśliwa Jadwiga sama nie wiedziała co począć: z jednej strony Wilhelm, a z drugiej rozrost chrześcijaństwa i Polski. Długo wahała się i walczyła sama z sobą. Nakoniec przełożyła dobro ogólne nad szczęście własne i postanowiła oddać rękę Jagielle.

Wjechał więc Jagiełło do Krakowa (1386 r.), mając ze sobą wielu książąt i panów litewskich. W parę dni biskup krakowski chrzcił Jagiełłę, któremu dał imię Władysław, a razem z nim brata jego stryjecznego Witolda i innych Litwinów. Po chrzcie świętym odbył się przed ołtarzem ślub Władysława i Jadwigi i odtąd rozpoczęło się wspólne życie Polaków i Litwinów na dolę i niedolę.



Ślub Władysława i Jadwigi.

Nie należy jechać do Brazylii!

W ostatnich czasach pojawił się żywiej ruch emigracyjny, skierowany do Brazylii, w Ameryce południowej. Kraj ten nie posiada dobrych warunków dla emigrantów polskich i ci, którzy dadzą się skusić do wyjazdu, popadają tam w nieszczęście. Z tego powodu Namiestnictwo wydało obszerne pismo ostrzegające przed wychodztwem do Brazylii, ogłasza je przez starostwa po wsiach, prócz tego przez gazety. Jedno takie ostrzeżenie i my dostaliśmy, podajemy zatem najważniejsze ustępy do wiadomości czytelników *Roli*. Oto jak się przedstawiają te stosunki:

Wielu z emigrantów zostało namówionych do wyjazdu do Brazylii przez ludzi, których nie można pociągnąć do odpowiedzialności, lub też przez niesumiennych agentów obiecujących wolny przejazd tudzież inne korzyści i wsparcia. Po przyjeździe do Brazylii są jednak emigranci w wielu wypadkach narażeni na największą nędzę i tylko rzadko znajdują lichy zarobek. Ustawy kolonialne w Brazylii nie dają obcym osadnikom żadnej gwarancyi co do ich przyszłości. Brak tam jakiejkolwiek organizacyi pracy, a przedewszystkiem brak kredytu gospodarczego, któryby dopomógł małemu właścicielowi gruntowemu pokonać początkowe trudności, które, panująca w Brazylii drożyzna, jeszcze bardziej powiększa.

Także stosunki w stanach brazylijskich: Parana, San-Paulo i Minas Geraes, do których przedewszystkiem kierują się osadnicy, nie są pozazdroszczenia godne. Położenie w koloniach założonych w r. 1908 w stanie Parana było na ogół niekorzystne. Dochód, jaki przynosiły licho uprawiane pola, nie wystarczał na utrzymanie przeważnie części emigrantów, a niskie zarobki, które wypłacono najczęściej w kwitkach na żywność, nie wystarczały z powodu przesadnie wysokich cen wielu rodzinom na nabycie najpotrzebniejszych rzeczy codziennych.

Pomimo istniejących przepisów osadniczych, które emigrantom podczas pierwszych sześciu miesięcy, do chwili pierwszego sprzętu, przyznają wsparcia tytułem pożyczek, w praktyce już w pierwszych sześciu miesiącach wydaje się emigrantom przekazy na uzyskanie artykułów żywności u dostawców komisyi osadniczej tylko pod tym warunkiem, że przez trzy dni w tygodniu pracują przy budowie dróg.

Wobec tego pozostają im tylko trzy dni w tygodniu do pracy rolnej na własnych losach (otrzymanych działach ziemi). Czas ten bywa przez to także skrócony, że emigranci wskutek nadzwyczaj powolnego postępowania budowy domów, muszą mieszkać miesiącami w barakach, z których nierzadko kilka godzin drogi mają do swoich losów. W koloniach Xavier da Silva, Senador, Correira, Miguel Calmon i S. Roque było położenie emigrantów w wielu wypadkach pomimo przeważnie urodzajnej ziemi smutne, miejscami nawet doprowadzało do rozpaczy, tak, że wielu z emigrantów opuściło kolonie, a niektórzy z nich na koszta państwa ojczystego musieli wracać do domu.

Szczególnie przykre stosunki były w kolonii Xavier da Silva gdzie zwolniony z zajmowanego stanowiska kierownik kolonii popełnił najcięższe przekroczenia na poruczonych jego pieczy osadnikach. Założona przez Towarzystwo kolejowe kolonia Legru, posiada mało przydatną rolę do uprawy, ciężkie warunki osadnicze, a złe doświadczenia jakie porobili robotnicy w służbie tego Towarzystwa, powinny być odstraszającą przestrogą dla innych. W stanie San Paulo było położenie tych emigrantów, którzy w r. 1908 tam przybyli i za grunta otrzymane jeszcze nie zapłacili również bardzo przykre, ponieważ byli zmuszeni nietylko starać się o środki do życia, lecz także o zapłacenie pierwszych rat a przez to popadli zaraz z początku w trudności, tak, że większa część z nich musiała grunta opuścić i udać się albo do sąsiednich miast albo też wrócić do ojczyzny.

Przypływ do miast brazylijskich pozostał jednak dla szukających pracy bez korzyści, ponieważ wskutek ogólnego ograniczenia produkcyi nie było potrzeba sił roboczych. Ci emigranci, którzy znaleźli zatrudnienie w plantacyach kawy, osiągnęli wprawdzie przeciętny zarobek dzienny 4 do $6\frac{1}{2}$ koron, jednakże zarobek ten w wielu wypadkach albo z powodu zadłużenia właścicieli plantacyi kawy nie został zupełnie wypłacony, albo też wskutek wszelkiego rodzaju oszukańczych rachunków został im o 20 do 40 procent zerwany. Także i w innych gałęziach zarobku widoki popsuły się. Stosunki w kolonii Joaro Pinheiro, dokąd w ciągu roku 1908 licznie austryaccy emigranci udali się, są wprost okropne. Kolonia ta, której klimat jest bardzo zły, cierpi na brak zdrowej wody do picia. Budynki wystawione przez rząd związkowy są z jak najgorszego materyału i w jak najgorszy sposób budowane. Postępowanie urzędników kolonialnych wobec kolonistów są pełne samowoli i przekupstwa. Koloniści nie znajdują u urzędników żadnej życzliwości i są wystawieni na najgorsze wykroczenia i samowolę.

Ogólnie także uskarżają się osadnicy na to, że ich córki są narażone na wielkie niebezpieczeństwa z powodu panującej niemoralności. Także były bardzo często skargi na naruszenie tajemnicy listowej. Osadnicy austryaccy, którzy w ciągu roku 1909 tamże osiedlili się, opuścili tę kolonię, porzucając całe mienie i będąc wogóle zadowolonymi, że mogli życie uratować.

Nie lepiej przedstawiają się stosunki w innych koloniach państwa Ninas Geraes. Stosunki życiowe w dystrykcie związkowym Rio de Janeiro i w stolicy samej były z powodu nadzwyczajnej drożyzny dla europejskich emigrantów bardzo niekorzystne. W r. 1909 werbowano w Europie robotników do budowy kolei w górnej części rzeki Amazonki. Jednakże stosunki klimatyczne mają być tam bardzo niekorzystne a traktowanie i sposób żywienia europejskich robotników przy budowach kolei w Brazylii pozostawia wogóle bardzo wiele do życzenia.

Tak mniejwięcej przedstawiają się stosunki, stwierdzone urzędownie. Wobec tego emigracyę do Brazylii należy całkowicie zarzucić. Ktoby musiał opuścić kraj ojczysty, niech szuka szczęścia w innym kraju zamorskim. A zatem jeszcze raz: Nie należy jechać do Brazylii!!

SMUTNO MI!

Smutno mi, smutno, między obcemi,
Gdzie niema polskiej pieśni pastuszej,
Gdzie niema nieba i swojskiej ziemi
I serc braterskich i bratniej duszy...

Smutno mi, smutno, za wioską moją,
Gdzie strumyk cichym szmerem szeleści,
Gdzie dumnie drzewa przy drogach stoją,
Świadkowie moich uciech... boleści!

I choć mi nie brak tutaj dostatku
I o dobrobyt nie trza się trwożyć,
To przecież pragnę, chociaż w ostatku,
By głowę w ziemi rodzinnej złożyć!...

Ant. St. Bassara.

Tajemnice Morza.

(Opowiadanie profesora francuskiego).

(Ciąg dalszy).

LISTOWNE ZAPROSZENIE.

Nazajutrz, 9 listopada, obudziłem się po przespaniu dwunastu godzin. Konsel przyszedł, według zwyczaju, dowiedzieć się jak spałem i pytać o rozkazy; opowiadał, że zastał swego przyjaciela, Kanadyjczyka, śpiącego tak smacznie, jak człowiek, który nic innego w życiu nie robił. Wkrótce ubrawszy się, poszedłem do dużego salonu. Był pusty. Upłynął dzień cały, a kapitan Nemo nie zaszczycił mnie swoją wizytą. Drzwi salonu nie uchyliły się.

»Nautilus« utrzymywał się w kierunku wschodnim, przy dwunastomilowej szybkości i zanurzeniu na pięćdziesiąt do sześćdziesięciu metrów. Na drugi dzień, 10 listopada, toż samo zaniedbanie, takaż samotność. Ned i Konsel spędzili większą część dnia ze mną. Dziwiła ich niewytłómaczona nieobecność kapitana. Czy ten szczególny człowiek był chory? Czy zmienić chciał względem nas swe zamiary? Z tem wszystkiem, jak zauważył Konsel, używaliśmy zupełnej swobody i byliśmy dobrze żywieni. Gospodarz nasz dotrzymywał warunków swego układu. Nie mogliśmy się żalić: a zresztą sama niezwykłość naszego losu obiecywała tak sowite nagrody, żeśmy nie mieli jeszcze prawa go winić. Tegoż dnia zacząłem spisywać dziennik mych przygód, co dało mi możność opowiedzenia ich z najściślejszą dokładnością.

Dnia 11 listopada świeże powietrze, rozchodzące się wewnątrz »Nautilusa«, uprzedziło mię, żeśmy wrócili na powierzchnię oceanu. Zwróciłem się ku środkowym schodom i wyszedłem na platformę. Dochodziła szósta rano. Powietrze było mgliste, morze szare, ale spokojne. Zaledwie kołysały się fale. Czy kapitan Nemo, którego spodziewałem się tu spotkać, nadejdzie? Ujrzałem tylko sternika, uwięzionego w swej szklanej klatce. Usiadłszy na krawędzi pudła statku, z rozkoszą wciągałem w płuca słone wyziewy.



...Zbadał wszystkie punkta horyzontu...

Podziwiałem rozkoszny wschód słońca, tak wesoły i ożywczy — gdy naraz usłyszałem, że ktoś wchodzi na platformę. Gotowałem się powitać kapitana, ale to był jego porucznik podobny do niego z wyglądu. Zdawał się nie spostrzegać mej obecności. Przyłożywszy potężną lunetę do oczu, zbadał z niezmierną uwagą wszystkie punkta horyzontu. Potem zbliżył się do klapy i wymówił zdanie, którego brzmienie dokładnie tu powtarzam. Zachowałem je dobrze w pamięci, bo każdego rana powtarzało się w jednakich okolicznościach. Oto są te wyrazy:

Nauiron respoc lerni virch.

Co one znaczyły — tego nigdy nie będę wiedział.

Po wymówieniu tych słów, porucznik zszedł na dół. Myślałem, że »Nautilus« wraca do swej podmorskiej żeglugi, pospieszyłem więc do klapy i przez podłużny korytarz dostałem się do mego pokoju.

Upłynęło tak pięć dni, bez żadnej zmiany w naszem położeniu. Co rano wychodziłem na platformę. Codzień to samo zdanie wychodziło z ust tej samej osoby. Kapitan Nemo nie zjawiał się. Sądziłem już, że go nigdy nie zobaczę, kiedy tymczasem 16 listopada, wróciwszy do swego pokoju z Nedem i Konselem, zastałem na stole list pod mym adresem. Zerwałem niecierpliwą ręką kopertę. Pismo było bujne, czyste — lecz zakrawało nieco na gotyckie, przypominając kształt liter niemieckich. List ten zawierał następujące wyrazy:

Do pana profesora Aronnax, na pokładzie »Nautilusa«, 17-go listopada 1867 r.

Kapitan Nemo zaprasza profesora Aronnax na polowanie, które odbędzie się jutrzejszego rana, w swych lasach na wyspie Krespo. Spodziewa się, że profesorowi nic nie przeszkodzi w niem uczestniczyć i z przyjemnością będzie widział z nim razem jego towarzyszy.

Dowódca »Nautilusa« kapitan Nemo.

— Polowanie! — zawołał Ned.

— I to w lasach na wyspie Krespo — dodał Konsel.

— Zatem wysiędzie na ląd ten dziwak — zauważył Ned Land.

— Zdaje mi się, że to dość jasno wyrażone — odpowiedziałem, powtórnie odczytując list.

— A więc należy przyjąć — rzekł Kanadyjczyk. Raz stanąwszy na ziemi, zobaczymy, co począć dalej. Zresztą nie gniewa mię to wcale, że sobie zjem parę kawałków świeżego mięsa.

Nie starając się pogodzić sprzeczności, zachodzej pomiędzy objawionym przez kapitana Nemo wstrętem do wysp i lądów, a jego zaproszeniem na polowanie w lasach, poprzestałem na odpowiedzi:

— Zobaczymy przedewszystkiem, co to jest ta wyspa Krespo.

Wziąłem mapę obu półkul i znalazłem wysepkę rozpoznaną w r. 1801 przez kapitana Krespo, która na dawnych mapach hiszpańskich zwaną była »Srebrna Skała«. Znajdowaliśmy się zatem blizko o tysiąc ośmset mil od miejsca naszego wyjazdu.

Po kolacyi podanej mi przez milczącego i niewzruszonego służącego, zasnąłem nie bez pewnego zajęcia się myślą o jutrze.

Nazajutrz, 17 listopada, zbudziwszy się, poczułem, że »Nautilus« stoi całkiem nieruchomy. Ubrałem się żywo i poszedłem do dużego salonu.

Zastałem kapitana Nemo, który tu na mnie czekał; powstał, się i zapytał, czy zechcę mu towarzyszyć.

Ponieważ nie napomknął ani słówka o naszem ośmiodniowem niewidzeniu się, więc i ja tez nie wspominając nic o tem, odpowiedziałem poprostu, żem gotów z towarzyszami na jego usługi.

— Ośmielę się tylko — dodałem — zadać panu jedno pytanie.

— Pytaj, panie Aronnax, a jeżeli będę mógł, to ci odpowiem.

— A więc, kapitanie, jakim sposobem, zerwawszy wszelkie stosunki z ziemią, posiadasz pan lasy na wyspie Krespo?

— Panie profesorze — odrzekł kapitan — lasy, które posiadam, nie potrzebują od słońca ani światła, ani ciepła. Nie mieszkają w nich ani lwy, ani rysie, ani tygrysy, ani jakiekolwiek zwierzęta czworonożne. Ja sam tylko je znam; dla mnie tylko jednego one rosną. Są to lasy podmorskie.

— Lasy podmorskie! — zawołałem.

Spojrzałem na dowódcę »Nautilusa« wzrokiem, który nie wyrażał dlań nic pochlebnego.

— Widocznie cierpi na mózg — pomyślałem, miał napad, który trwał ośm dni i dotąd jeszcze nie ustał. Szkoda, wolałbym w nim widzieć dziwaka, niż waryata.

Weszliśmy do sali jadalnej, gdzie zastawione było śniadanie.

— Panie Aronnax — rzekł kapitan — proszę podzielić ze mną bez ceremonii śniadanie. Porozmawiamy jedząc. Przyrzekłem panu przechadzkę po lesie, lecz nie obiecywałem, że znajdziesz tam restauracyę. Posilaj się pan jak człowiek, który prawdopodobnie będzie musiał długo czekać na obiad.

Kapitan Nemo jadł, z początku nie mówiąc ani słowa; potem odezwał się do mnie:

— Panie profesorze, kiedym zaproponował ci polowanie w mych lasach na wyspie Krespo, sądziłeś, że jestem sam z sobą w sprzeczności. Gdym cię objaśnił, że tu idzie o lasy podmorskie, myślałeś, żem waryat. Panie profesorze, nie trzeba nigdy sądzić o ludziach lekkomyślnie. Chciej pan posłuchać, a zobaczysz, czy wypada zarzucać mi sprzeczność lub obłąkanie. Wiesz pan tak dobrze jak ja, że człowiek może żyć pod wodą, byle tylko miał z sobą zapas powietrza do oddychania. W pracach podmorskich robotnik w nieprzemakającem odzieniu, z głową zamkniętą w metalowem pudle, otrzymuje powietrze za pomocą pomp. Jest to przyrząd nurków, ale człowiek w takich warunkach nie ma dosyć swobody. Związany on jest z pompą, dosyłającą mu powietrze, kauczukową rurą, łańcuchem przykuwającym go do ziemi; będąc tak przyczepieni do »Nautilusa«, nie moglibyśmy daleko odejść.

— Lecz jakim sposobem możemy być wolni? — zapytałem.

— Za pomocą mego przyrządu, który posiada małą banię ze ścieśnionem powietrzem, jak tornister żołnierza noszoną na plecach; oprócz tego znajduje się tam także baterya elektryczna, którą oświetlam sobie drogę, bo pod wodą jest czasem ciemno.

— Niech mi wolno będzie jeszcze zapytać o strzelbę, w którą mnie masz uzbroić — rzekłem.

— Ależ to nie jest broń palna — odpowiedział.

— A więc wiatrówka?

— Naturalnie. Jakże pan chcesz, bym robił proch na mym pokładzie, nie mając ani saletry, ani siarki, ani węgla. Zresztą, panie Aronnax, sam się przekonasz, że na podmorskich łowach niewiele wychodzi kul i powietrza.

— Zdaje mi się jednak, że w tem półświetle i wśród płynu tak gęstego, strzały nie mogą nieść daleko i rzadko bywają śmiertelne.

— Owszem panie, każdy strzał z tej broni jest śmiertelny, i byle zwierzę zostało jak najlżej dotknięte pociskiem, pada nieżywe.

— Dlaczego?

— Bo mojej broni nie nabija się zwykłemi kulami, ale drobnemi szklanemi kapsułkami, naładowanemi elektrycznością pod bardzo wysokiem ciśnieniem. Za najmniejszem uderzeniem pękają, a najsilniejsze zwierzę pada martwe. Dodam jeszcze, że nie są większe, jak czwarty numer śrutu, i że nabój zwykłej fuzyi mógłby zawierać ich dziesięć.

— Nie sprzeczam się — rzekłem, wstając od stołu. — Pozostaje mi tylko wziąć strzelbę. Zresztą gdziebądź pan pójdziesz, i ja z tobą pójdę.

Kapitan poprowadził mię na tył »Nautilusa«. Przechodząc koło kajuty Neda i Konsela, zawołałem mych towarzyszy, którzy się zaraz za nami udali. Weszliśmy do celki leżącej na samym skraju statku obok izby machin, żeby się ubrać w spacerowe suknie.

PRZECHADZKA PO RÓWNINIE.

Celka ta, właściwie mówiąc, była arsenałem i szatnią »Nautilusa«. Z tuzin przyrządów nurkowych, rozwieszonych na przepierzeniu, oczekiwał wybierających się na przechadzkę. Ujrzawszy je Ned-Land, okazał widoczny wstręt do przywdziania tego ubioru.

— Ależ, mój dzielny Nedzie — rzekłem — lasy wyspy Krespo, są to lasy podmorskie.

— Tak — mruknął oszczepnik, widząc rozwiane swoje nadzieje o świeżem mięsie. — I pan się w to, panie Aronnax, ubierzesz?

— Trzeba, mości Nedzie.

— Wolno panu — odrzekł, wzruszając ramionami; — ja zaś, jeżeli mnie gwałtem nie zmuszą, nie włożę tego za nic w świecie.

— Nie będą cię zmuszać, mości Nedzie — odezwał sie kapitan Nemo.

— A Konsel czy się odważy? — zapytał Ned.

— Ja wszędzie pójdę za panem — odparł Konsel.

Na zawołanie kapitana, przybyło dwóch ludzi z załogi, żeby nam pomódz do przywdziania tych ciężkich, nieprzemakających sukien, zrobionych bez szwu z kauczuku i przyrządzonych w ten sposób, żeby zdołały wytrzymać wysokie ciśnienie. Rzekłbyś, że to zbroja zarazem giętka i mocna. Składała się z kaftana i spodni, zakończonych grubem obuwiem z ołowianemi podeszwami. Tkanina kaftana nasadzoną była miedzianemi blaszkami, które opancerzały pierś, chroniły ją od parcia wód, i dozwalały płucom swobodnego działania; rękawy kończyły się w kształcie giętkich rękawiczek.

Kapitan Nemo, jeden z jego towarzyszy, rodzaj olbrzyma, posiadającego zapewne ogromną siłę, Konsel i ja oblekliśmy się wkrótce w owe nurkowe suknie. Pozostawało już tylko wsunąć głowę w metalową banię. Poprosiłem jednak przedtem kapitana, by mi pozwolił obejrzeć nasze strzelby.

Jeden z załogi »Nautilusa« podał mi pojedynkę z dużą a wewnątrz pustą kolbą ze stalowej blachy. Kolba ta służyła za rezerwoar zgęszczonego powietrza, które klapka otwierająca się za pociągnięciem kurka wpuszczała do metalowej lufy. Pudełko na kule wyżłobione w grubości kolby, zawierało dwadzieścia pocisków elektrycznych, które za pomocą sprężyny same wsuwały się w lufę. Po każdym wystrzale broń bywa zaraz nabita.

— Kapitanie Nemo — rzekłem — jestto broń doskonała i łatwa w użyciu. Radbym co żywo ją wypróbować.

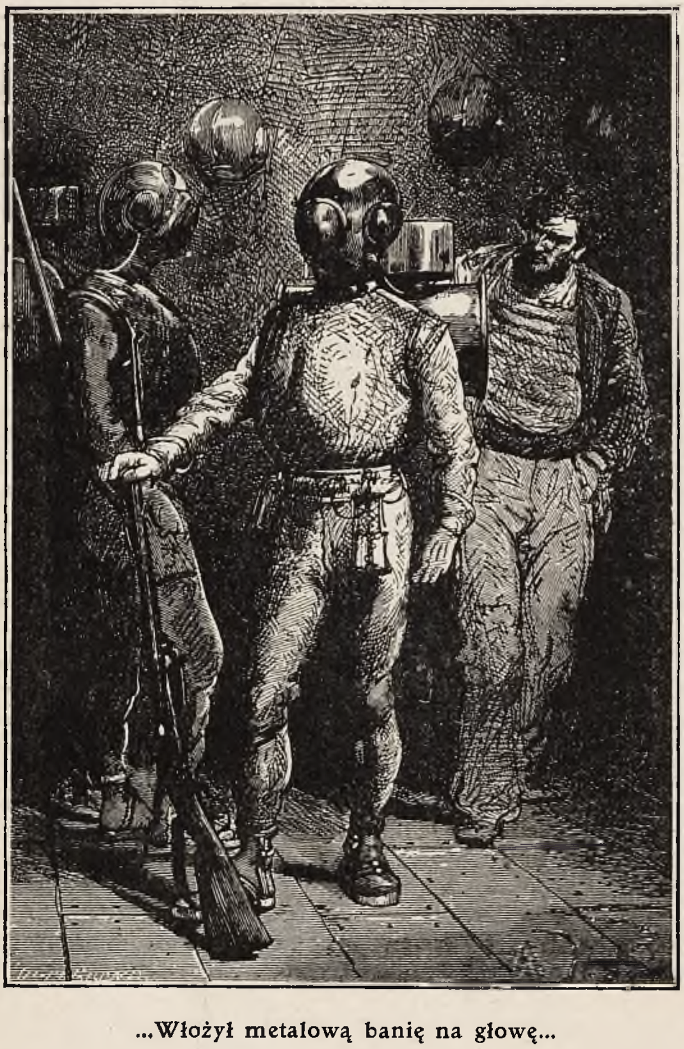
Kapitan Nemo włożył głowę w metalową banię. Konsel i ja zrobiliśmy to samo, słysząc jak Kanadyjczyk życzył nam szyderczo »szczęśliwych łowów«. Górna część naszej odzieży zakończona była podziurkowanym miedzianym kołnierzem, do którego przyśrubowywano metalowy szyszak. Trzy wycięte w nim otwory, opatrzone grubemi szkłami, dozwalały widzieć w każdym kierunku, obracając tylko głowę wewnątrz bani. Po przymocowaniu takowej przyrządy zaczęły natychmiast działać i oddychałem zupełnie dobrze. Z lampą zawieszoną u pasa i fuzyą w ręku, gotów byłem do drogi. Wyznam jednak otwarcie, że w tem ciężkiem odzieniu i przykuty do pomostu ołowianemi podeszwami, nie zdołałbym postąpić kroku.

Ale wypadek ten był przewidziany, poczułem, że mnie popchnięto do małego, przyległego do szatni pokoiku. Towarzysze moi również popychani postępowali za mną. Usłyszałem jak się zamknęły za nami drzwi opatrzone w szczelne zasuwy i ogarnęła nas głęboka ciemność.

Po kilku minutach obiło mi się o uszy przeraźliwe świśnięcie. Oczywiście wpuszczono za pomocą rury z zewnątrz statku wodę, która zalewając nas, napełniła wkrótce cały pokój. Wówczas otworzyły się drugie drzwi w boku »Nautilusa« i ujrzeliśmy blade półświatło. Za chwilę potem stąpałem po dnie morskiem.

A teraz, jakże mam skreślić wrażenia pozostałe mi z tej podwodnej przechadzki! Wyrazy są bezsilne na opowiedzenie tylu cudownych zjawisk.

Kapitan Nemo szedł naprzód, a towarzysz jego postępował o kilka kroków za nami. Konsel i ja trzymaliśmy się obok siebie, jak gdyby wymiana



...Włożył metalową banię na głowę...

słów przez nasze metalowe skorupy była możliwą. Nie czułem już ciężaru mej odzieży, obuwia, rezerwoaru z powietrzem, ani nawet tej grubej bani, w której głowa moja kołatała się, jak migdał w łupinie. Wszystkie te przedmioty zanurzone w wodzie, traciły część swej wagi i było mi bardzo wygodnie. Przestałem być ociężałą masą i posiadałem swobodę ruchów, względnie nawet dość znaczną.

Jasność oświetlająca grunt na trzydzieści stóp pod powierzchnią oceanu, zadziwiła mię swoją mocą. Promienie słoneczne z łatwością przenikały wskróś wodną masę, rozpraszając jej zabarwienie. Nad sobą widziałem spokojną powierzchnię morza.

Szliśmy po drobniutkim, gładkim piasku, nie pomarszczonym jak piasek wybrzeży, noszący ślady kołysania się fali. Lśniący ten kobierzec z zadziwiającą siłą odbijał promienie słońca, — i stądto pochodził ów niezmierny blask, przenikający cały płyn. Czy uwierzycie mi, gdy powiem, że w tej trzydziestostopowej głębinie widziałem tak wyraźnie, jak wśród jasnego dnia na ziemi?

Przez kwadrans stąpałem po tym iskrzącym się piasku, posianym nieujętym pyłkiem muszel. Pudło »Nautilusa« zarysowane w kształcie długiej skały, powoli znikało nam z oczu, ale latarnia jego w razie gdyby ciemność nastała w wodzie, miała ułatwić nam powrót, roztaczając z niezmierną wyrazistością swoje promienie. Szliśmy wciąż dalej, a rozległa piaszczysta równina zdawała się nie mieć granic.

Wkrótce niektóre kształty przedmiotów, majaczących ledwie w oddali, zarysowały się przed memi oczyma. Ujrzałem na pierwszym planie skały, zasłane najpiękniejszemi okazami zwierzokrzewów, i stanąłem zdumiony zjawiskiem, właściwem tylko podmorskiej otchłani.

Była wówczas godzina dziesiąta rano. Promienie słońca padały na powierzchnię fal pod kątem dosyć ukośnym — i za dotknięciem ich światła, rozłożonego przez złamanie się jakby w pryzmacie, kwiaty, skały, odziomki, muszle mieniły się po brzegach siedmiu kolorami słonecznego widma. Był to cud, gra barwistych odcieni, zielonego, żółtego, pomarańczowego, fioletowego, niebieskiego, błękitnego.

Na ten wspaniały widok, Konsel, również jak ja, przystanął. Przejrzałem wszystkie te dziwy na ćwierćmilowej przestrzeni, zatrzymując się ledwie na chwilę, i zdążając za kapitanem Nemo, który mię przyzywał skinieniem. Następnie przebiegliśmy łąkę wodorostów, podmorskich roślin nie wyrwanych jeszcze przez wodę, i rozradzających się z niezmierną bujnością. Te gęsto splecione trawniki, miękkie w dotknięciu stopą, mogłyby iść o lepsze z najdelikatniejszemi dywanami, utkanemi ręką człowieka.

Upłynęło półtorej godziny od chwili opuszczenia »Nautilusa«. Było blizko południa. Poznałem to po pionowem padaniu promieni słonecznych, które przestały już łamać się. Szliśmy miarowym krokiem, rozlegającym się dziwnym rozgłosem po gruncie. W tem miejscu grunt zniżył się znaczną pochyłością. Światło przybrało ton jednostajny. Doszliśmy głębokości stu metrów, znosząc wtedy ciśnienie dziesięciu atmosfer. Ale mój przybór nurkowy był tak wybornie urządzony, że nie doznałem stąd żadnej dolegliwości. Znużenie po dwugodzinnej przechadzce, w chomoncie, do którego tak mało byłem przyzwyczajony, było żadne. Ruchy me, z pomocą wody, odbywały się z zadziwiającą łatwością. Naraz kapitan Nemo przystanął, czekając aż się doń zbliżę i wskazał mi kilka brył czarnych, wystających w cieniu niewielkiej odległości.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Maciek Bzdura gada:

Ani mi jedzenie niemiłe, ani spanie niemiłe, ani wsyćkie inne uciechy, bo człek juz ledwie zipie i nogamy przebira. Ledwie skończyło się plewienie zimiaków, a juz przylazły sianokosy i inne zmartwienia. Zeby to choć na tem świecie same chłopy były, toby ta jesce usło, ale ze to Pan Bóg pomisoł ludzi, jak groch z kapustą, to ino strapienie z tego i kuniec.

Baba dobra do skrobania zimiaków, do dojenia krów i innych jesce rzecy, ale co się tyczy do sianą, to nie chyci. Wcoraj, na ten przykład, wyprawili nas gospodarz na łąkę, abyśmy tam wysuszyli, zgrabili i przywieźli siano do stodoły. Posedem ja, Walek od Matusa, Jewka, Jaga i Hanka. Ze suseniem to ta jesce sło jako tako, choć co prawda to dziwki więcy susyły zęby, jak siano, ale jak przysło do grabania, to te niećciwiary makolągwy majdały grabiamy, jak pies ogonem i roboty ich ani znać nie było. Zeby nie Walek i ja, to siano ani do Bozego Narodzenia by nie wyschło.

Ale gorzy było ze zgrabaniem i zniesieniem. Tak Jewka, jak Jaga i Hanka, to nie dość, ze nie więcej brały naraz, jak kapeluse tych panien z miasta, ale i to zamiast rzucić siano na kupę, to akuratnie trafiały abo na mnie, abo na Walka, abo na obu razem. Człek, nie dość, ze się namordował noseniem, to musiał się jesce z cały styrty gramolić.

Powiadam więc do Walka:

— Wis, ze ja słuśnie mówię, co baby ino na strapienie człowiekowi Bóg stworzył. Jakby my byli sami pośli do siana, toby my to samo zrobili co i tak a gospodarz mniejby musieli dawać jedzenia i piniędzy.

— E, idź! — powiada Walek — bez bab byłaby bida i kuniec. Człek, jakby nie baby, toby się nie roześmiał nigdy, boby nie miał z kogo, a inoby zaśniedział i spleśniał, jak chleb łońskorocny.

Ha, niby ma trochę racyę i Walek, bo przecie chłop z chłopa śmiał się nie będzie, ino z baby. Uśmieliśmy się tez ogromnie przy nakładaniu na furę. Z początku to ta sło jesce jako tako, ale jak siana na wozie było juz duzo, to co która śmignie na wóz, to siano podleci trochę do góry, a potem zaraz zlatuje na ziemię. Jaz my się za brzuchy trzymali, co z tego śmichu było.

Ale i śmianie nie zawsze zdrowe. Jaga, co to zawse powolniejsa, to łzy w ślipiach miała, ale Jewka to się rozindycyła i zrobiła się cyrwona, jak burak, abo nos pijaka. Najładniej to se postąpiła Hanka, bo jak jej nasego śmiania było za duzo, to przeciągła grabiamy raz Walka, drugi raz mnie, i odrazu śmianie się skończyło, a robota sła dalej.

Jedna ino rzec na śmianiu się kiepsko wysła, to jest siano. Jakby się były baby nie śmiały, toby my go byli wszyćko zebrali, a tak trochę zostało i w nocy zmokło.

Krwawy dzień we Lwowie.

Słuszną i sprawiedliwą jest rzeczą, aby każdy naród miał swoje szkoły, w którychby się mógł kształcić i zdobywać wiedzę. Nikogo też nie dziwi, że Rusini upominają się ciągle o własny uniwersytet, w którymby się kształcić mogli. Jak wiadomo Polacy mają dwa uniwersytety, t. j. w Krakowie i we Lwowie, mogliby więc i Rusini mieć własny uniwersytet, w któremś z miast Galicyi wschodniej. Uznają taką potrzebę i Polacy, to też przyjęli gościnnie Rusinów na uniwersytet lwowski, pozwalając na to, aby niektóre przedmioty były wykładane dla Rusinów w języku ruskim. Ale słusznie powiada przysłowie: »Pozwól kurze grzędy — ona zechce wszędy«, to też i Rusini zapragnęli wydrzeć Polakom ich uniwersytet. Samo takie żądanie, jakkolwiek niełądne, mogłoby być po części wytłumaczone, ale to, że do tego wydarcia używają Rusini zbrodni, wytłumaczonem być w żaden sposób nie może. Zbrodnia zostaje zbrodnią i niczem więcej.

A takiej nowej zbrodni dopuścili się właśnie Rusini w dniu 1 lipca, zbrodni tem ohydniejszej, że naprzód uplanowanej. Już 16 czerwca b. r. poseł Dniestrzańskij zapowiedział na posiedzeniu wiedeńskiej Izby poselskiej, że dobra oświatowe w XX w. mogą być zdobywane drogą rzezi. Jeżeli człowiek poważny zapowiada takie straszne rzeczy, jakże nie ma iść w ślad słów jego płocha i nierozważna młodzież!? Młodzież ta rzeczywiście usłuchała strasznych wskazówek swojego przewódcy, bo oto zaraz zaczęła rozsyłać telegramy na wszystkie strony do akademików i studentów, aby co rychlej do Lwowa przyjeżdżali. I rzeczywiście posłuch okazał się nadzwyczajny: w dniu 1 lipca 300 studentów ruskich uzbrojonych w rewolwery, pałki, boksery itp. »przekonywujące« rzeczy, zebrało się na narady w największej sali uniwersyteckiej. W czasie obrad przybyło do gmachu około 40 studentów Polaków, którzy w dniu tym mieli zdawać egzamina. Wtem otwierają się drzwi sali, w której obradowali Rusini, i cały tłum rusza ku sali rektora uniwersytetu. Polscy studenci, bojąc się, aby Rusini nie zniszczyli sali rektora, jak to niedawno uczynili, poczęli przejście zastawiać ławkami. Wtedy Rusini poczęli strzelać z rewolwerów. Gdy jeden z nich, Adam Kocko, schylił się ku ziemi po polano, wtedy drugi wymierzył z rewolweru ku Polakom. Kocko, wziąwszy polano, wyprostował się nagle a wtedy padł strzał owego drugiego Rusina i trafił go w głowę. Kocko, zalany krwią, runął na ziemię. Mimo to Rusini nie zaprzestali strzelać. Pewien ruski kleryk, nazwiskiem Paweł Reszetyło, wyszedłszy na okno, czepił się rynny i stamtąd począł strzelać do Polaków.

Nie wiedzieć jaki koniec miałby ten napad Rusinów na polski uniwersytet, gdyby nie policya, która przybywszy, uspokoiła rozbestwionych młokosów. W rezultacie aresztowano około 120 studentów ruskich, którym zabrano kilkadziesiąt rewolwerów, kołów, bokserów itp rzeczy. Oprócz Adama Kocko, który od zadanej rany zmarł wkrótce, jest kilka osób ciężko rannych a wiele lżej.

Smutne to zajście odpokutują nierozsądni młokosi, a ci, którzy byli najwięcej winni, podburzając smarkaczów do bójek i awantur, to jest posłowie ruscy, ujdą bezkarnie. Jak to łatwo innych podburzać a samemu siedzieć bezpiecznie zdala od rozlewu krwi! Co prawda, to i posłowie ruscy bić się potrafią, czego dał dowód Staruch w sejmie.

Z TYGODNIA.

W komisyi budżetowej wiedeńskiej Rady państwa posłowie słowieńscy rozpoczęli obstrukcyę i długiemi mowami, oraz innymi sposobami przeszkadzali obradom, za to, że rząd zapewnił Włochów, iż da im uniwersytet włoski prawdopodobnie w Tryeście, na co Słowieńcy nie chcą się zgodzić, ponieważ Tryest leży na ziemi słowiańskiej. Koło polskie, aby okazać rządowi niezadowolenie z odroczenia sprawy budowy kanałów — o czem pisaliśmy przed tygodniem — wprawdzie obstrukcyi nie prowadziło samo, ale jej też nie zwalczało, a to sprawiało wiele kłopotu rządowi.

Rada państwa została odroczona we wtorek wieczorem i prawdopodobnie nie zbierze się aż w jesieni. Powodem było to, że prezydent ministrów Bienerth nie mógł sobie dać rady z trudnościami, a najbardziej dokuczyła mu obstrukcya w komisyi budżetowej.

W sprawie dróg wodnych w ostatnim dniu przed odroczeniem Izby pojawił się w Kole polskiem wniosek, postawiony przez posła Górskiego, aby rząd za to, że nie buduje kanałów, pozwolił prywatnemu Towarzystwu bankowemu budować kanał od Dunaju do Wisły a corocznie przez lat 40 płacił Towarzystwu subwencyę po 10 milionów rocznie. Oczywiście teraz, po odroczeniu Izby poselskiej, o wniosku tym nie będzie już mowy.

Zamachy w Królestwie. Od dość dawna nie było już w Królestwie polskiem żadnego zamachu krwawego na urzędników rosyjskich. Niedawno, w ciągu jednego tygodnia popełniono aż dwa zamachy, przy których polało się dużo krwi.

Na stacyi Grodzisko, dwie godziny drogi od Warszawy dokonano zamachu na naczelnika powiatu błońskiego, Aleksandrowa. Jeden z uczestników zamachu, ukryty w ogródku przy kancelaryi naczelnika stacyi, w chwili, gdy Aleksandrow w towarzystwie dwóch strażników wchodził na stacyę kolejową — rzucił bombę. Od wybuchu jej strażnicy padli na ziemię. W tejże chwili inni uczestnicy zamachu skierowali do Aleksandrowa szereg strzałów. Zanim nadbiegła warta wojskowa, napastnicy, rozstawieni w przejściu stacyjnem, umknęli, sprawca zaś, który rzucił bombę, po wydostaniu się z ogródka, zdążył wpaść przez okno do kancelaryi naczelnika stacyi i począł strzelać do nadbiegłych żołnierzy.



Wymiana strzałów trwała kilkanaście minut, wreszcie poraniony sprawca zamachu, widząc udaremnioną obronę, wymierzył sobie strzał w usta i padł zbroczony krwią na ziemię. Naczelnik straży Aleksandrow w zamachu tym odniósł lekką ranę od kuli, strażników zaś, Prigodicza i Aksjanowa, przywieziono do Warszawy w stanie beznadziejnym. W czasie wybuchu odniół też ranę znajdujący się na stacyi syn rabina grodziskiego. Wybuch bomby poczynił znaczne spustoszenia w narożniku budynku stacyjnego. Ze służby kolejowej nikt nie odniósł szwanku.

W Radomiu naczelnik żandarmeryi, pułkownik Wąsiatskij został w biurze zabity przez ajenta policyjnego wystrzałem z rewolweru. Morderca i jeden jego wspólnik popełnili samobójstwo na miejscu.

W Berlinie, w rządzie pruskim zaszły zmiany, mianowicie kilku ministrów ustąpiło, a przyszli nowi. Dla nas Polaków nic to nie znaczy; nowi będą tak samo krzywdzili Polaków jak dawni, bo taki już wiatr wieje i wiać będzie, dopóki się Prusacy nie opamiętają i nie przyjdą do przekonania, że przez uciskanie Polaków szkodzą samym sobie i wstyd przynoszą imieniowi niemieckiemu.

Polacy w zaborze pruskim ze wszystkich krajów, a więc z Poznańskiego, Prus Wschodnich i Zachodnich, Śląska i kolonij robotniczych w Westfalii, zorganizowali się w jeden Centralny Komitet wyborczy polski. Jest to najwyższa władza wyborcza polska, której podlegać mają wszystkie organizacye prowincyonalne. Składa się z 11 członków, wybieranych przez poszczególne organizacye krajowe na trzy lata. Wobec wielkiej solidarności i karności narodowej, którą poszczycić się mogą nasi rodacy pod zaborem pruskim, można mieć nadzieję, że Centralny Komitet posiądzie wielką powagę i znaczne stąd dla sprawy narodowej wynikną korzyści. Jedność to siła!

Czy wyraz „socyalista“ jest obrazą? Ciekawy proces rozstrzygał niedawno sąd powiatowy w Wieliczce. Wedle treści skargi ksiądz Żaba z Biskupic, ucząc w Trąbkach dzieci religii, zapytał się ich, czy jest w Trąbkach jaki socyalista. Gdy dzieci zaprzeczyły, oświadczył im, że nowy wójt ich wsi jest socyalistą. Wskutek czego wójt, Król, zaskarżył księdza o obrazę czci. Ksiądz w sądzie zaprzeczył, by się tak wyraził, zeznał tylko, że wykładał o różnych nieprzyjaciołach kościoła. Oskarżyciel żalił się, że od tego czasu dzieci za nim po wsi biegają, przezywając go socyalistą, chociaż on nie wie nawet, »co to takiego jest«. Sędzia zasądził ks. Żabę na 6 koron grzywny za to, że postawiwszy takie pytanie, posądził wójta »o pogardliwe przymioty«. Sąd apelacyjny krakowski wyrok ten zniósł i ks. Żabę uwolnił, orzekając, że socyalizm jest partyą polityczną i socyaliści są na wybitnych stanowiskach, a więc niema mowy o »pogardliwych przymiotach«.

Sam wydał wyrok na siebie. Ciekawe o urzędnikach rosyjskich rzeczy opowiada rosyjska *Ruskoje Słowo*. Jeden z gubernatorów, coś w rodzaju namiestnika, otrzymał nagle uwolnienie z zajmowanej posady. Zadziwiło to okropnie wszystkich, gdyż nikt nie przypuszczał czegoś podobnego, a najbardziej był zdziwiony sam gubernator. Wobec tego zaczęto się dowiadywać o powód tego napędzenia i oto co się okazało:

Gubernator ów, zajęty śledzeniem rozmaitych spisków i stowarzyszeń narodowych, nie zwracał żadnej uwagi na inne sprawy, o które powinien był dbać przedewszystkiem. Wskutek tego podwładni mu urzędnicy załatwiali wszystko, jak im się podobało, a on ich zarządzenia bez czytania podpisywał. Jeden z urzędników, mający złość do gubernatora, napisał taki dokument:

»Ponieważ przekonałem się, że nie jestem zdolny do rządzenia moją gubernią, że jestem osieł i głupiec, że narobiłem mnóstwo błędów, przeto proszę o uwolnienie mnie z zajmowanego stanowiska« — i dał pismo to gubernatorowi do podpisu. Ten, jak zwykle i teraz pisma tego nie czytał, ale je podpisał i wysłał do ministerstwa. Minister załatwił je natychmiast, wobec czego gubernator został napędzony. Jak to źle, gdy ktoś nie spełnia swych obowiązków tak, jak je spełniać powinien!

KRONIKA.

Nasz obraz, »Najświętszej Rodziny«, który ofiarował dla naszych przyjaciół Przew. ks. W. Koziołek w dniu dzisiejszym przeznaczamy, podług ogłoszonych warunków temu, który zdobył największą liczbę nowych prenumeratorów w oznaczonym czasie. Ostateczny wynik przedstawia się jak następuje:

Władysław Czopek z S.	zjednał	16	prenumeratorów.
Michał Słupek z W.	„	14	„
Jan Serwin z M,	„	12	„
Karol Maciąg z D.	„	12	„
Jan Mycek z L.	„	10	„
Walenty Obara z K.	„	9	„
Stanisław Kasprzyk z M.	„	8	„
Wojciech Wężyk z C.	„	7	„
Leon Łętowski z S.	„	6	„
F. Fularz z Z.	„	5	„
Mikołaj Wyżykowski z R.	„	4	„
Józef Bara z P.	„	3	„
Karol Babik z W.	„	3	„
Jan Stypka z D.	„	3	„

Inni z naszych przyjaciół zjednali po 2 lub 1 prenumeratorów i tych imiennie nie ogłaszamy.

Wobec tego obraz przypadł w nagrodę p. Władysławowi Czopkowi w Skawcach, który go otrzyma po nadesłaniu 2 kor. na koszta opakowania.

Piorun niszczyciel. Od czytelnika naszego Jana Babuli z Wyhylówki, powiatu mieleckiego, otrzymujemy następujące wiadomości: Z Woli Mieleckiej wybrało się 24 czerwca czworo ludzi na odpust do Książnic. Gdy przybyli do Podleszan, wyszła maleńka chmurka, z której uderzył piorun w kobietę, siedzącą w środku. Kobieta padła na miejscu trupem, zaś troje innych zostało ciężko poranionych. W tym samym dniu w Brniu Osuchowskim uderzył piorun w stajnię Michała Hychla i zabił parę koni wartości 800 koron.

Nowy przeor Jasnogórski. W ubiegłym tygodniu odbyły się na Jasnej Górze w Częstochowie wybory nowego przeora, ponieważ dotychczasowy przeor, O. Euzebiusz Rejman, po kilkunastu latach ustąpił z zajmowanego stanowiska i oświadczył, że pragnie nadal pozostać tylko zwykłym zakonnikiem. Nowym przeorem został wybrany ksiądz Zygmunt Weloński bardzo uczony kapłan, starszy wiekiem, który już jako ksiądz i profesor seminaryum dyecezyalnego w Płocku, wstąpił przed kilku laty do Paulinów i złożył śluby zakonne.

Grunwald na wsi. W Poznachowicach dolnych, powiat wielicki, odbył się w dniu 26 czerwca b. r. wieczorek młodzieży szkolnej pod kierownictwem p. Adolfa Szypulskiego, miejscowego nauczyciela, na cześć wiekopomnej bitwy pod Grunwaldem ze śpiewami i deklamacyami układu tegoż nauczyciela. Wobec tłumnie zgromadzonego ludu z Poznachowic i okolicy wygłosił p. Szypulski wykład na temat: »Znaczenie bitwy pod Grunwaldem w dziejach Polski«.

O innej uroczystości donosi nam uprzejmie p. Felicya Bartkowska, która tak pisze:

Staraniem Czytelni w Mucharzu obchodzono uroczyście rocznicę Grunwaldzką w dniu 25 b. m. Na program obchodu złożyło się słowo wstępne, które wypowiedział prof. Gancarczyk. Mowca całą siłą gorących słów porwał serca wszystkich, odtwarzając wiernie przeszłość, owładnął duszą. — Morze oklasków było dowodem zadowolenia. Następnie odegrano jednoaktówkę W. Anczyca »Chłopi arystokraci«. Niezrównaną w swej roli była Kogucina p. Marya Bartkowska wraz z Koguciakiem p. Julianem Oskrabskim, p. Pelagia Bociańska dała nam obraz prawdziwej Komornicy, a Marysia, to p. Helena Jaroszówna, do łez wzruszała swą niedolą; Marcinka odegrał p. Holardziński, a Szczepanka przewspaniale p. Edward Dobruś; zagrodnika Stanisława grał przewybornie p. Józef Urban; z roli feldfebla p. Józef Haliski, a z roli żyda p. Gustaw Krogulski wywiązali się ku zupełnemu zadowoleniu zebranych. Muzyki nader wdzięcznej do śpiewek śród przedstawienia dostarczyła nam p. Marya Łagoszówna. Na zakończenie p. Krogulski wygłosił dwa monologi z życiem i werwą. Ochocze tany przeciągnęły się do białego rana. Czysty dochód z przedstawienia przesłano Towarzystwu oświaty ludowej.

Z Maszkowic pisze nam jeden z naszych przyjaciół, p. Jan Babik, co następuje: Dnia 3 lipca b. r. odbył się u nas obchód grunwaldzki. Zebrany naród po nabożeństwie nieszpornem w Łącku przechodził przez dwie pięknie udekorowane bramy do Maszkowic, na górę tak zwaną Zamczysko czyli Grodzisko, oddaloną o półtrzecia kilometra od Łącka. Jak wspaniale wyglądał ten pochód przy pięknej pohodzie, tego nie mogą sobie przedstawić ludzie, którzy go nie widzieli. Jechała więc konnica, złożona z okolicznych chłopów, na rosłych koniach, której towarzyszył Przewielebny ks. kanonik Piaskowy na swoim dzielnym rumaku. Chłopi byli ubrani w ubraniach krakowskich, a liczba ich przewyższała dwie setki. Oprócz tego licznie zgromadziły się miejscowe szkoły, a przybył także oddział sokołów ze Starego Sącza. Fur jadących pod Zamczysko było około pięćdziesiąt, a ludzi około dwóch tysięcy. Pochód ciągnął się przeszło jeden kilometr. Na górze Zamczysko, przy kamieniu pamiątkowym, na którym jest wyryte:

»1410 — 1910 ZYNDRAMOWI ZIOMKOWIE«.

miał przemowę prof. gimn. z Nowego Targu p. Ćwikowski i miejscowy obywatel Jan Faron. Potem nastąpiło zdjęcie kosynierów. Przedstawienie, które się tu miało odbyć, z powodu nadchodzącej burzy odbyło się w Łącku. Uroczystość zakończyła się wieczorem.

Bohaterski chłopak. W Łuce małej nad Zbruczem zdarzył się wypadek wyratowania tonącego chłopaka z topieli przez drugiego dziesięcioletniego chłopca. Rzecz miała się następująco: W dniu 8-go czerwca b. r. kąpało się kilku chłopców szkolnych w Zbruczu a między nimi Jan Zadorożny uczeń I klasy szkoły ludowej. Podczas kąpieli, nieumiejący pływać Jan Zadorożny, zapuścił się w miejsce, gdzie głębokość wody dochodzi do dwu metrów i począł tonąć.



Gdy to spostrzegł znajdujący się nad wodą uczeń III. kl., syn dzierżawcy młyna, chłopiec 10-letni, zdjął czemprędzej ubranie i rzucił się na ratunek tonącemu. Ratunek był trudny, bo chłopak sam niepewny w pływaniu, musiał pokonywać niebezpieczne kurczowe chwyty tonącego i z wielkim wysiłkiem, z narażeniem własnego życia, zdołał dociągnąć tonącego Zadorożnego w miejsce bezpieczne. Niebawem nadbiegli ludzie i dokonali reszty, bo zajęli się cuceniem słabe już znaki życia dającego chłopaka.

Dar na szpital w Łańcucie. Roman hr. Potocki z okazyi swego 25-letniego pożycia małżeńskiego ofiarował Wydziałowi powiatowemu w Łańcucie 150 tysięcy koron na budowę szpitala i jedną morgę gruntu przy ulicy Rzepowskiej na plac pod szpital. Szpital ma być wzniesiony pod wezwaniem Matki Boskiej Ostrobramskiej.

Śmierć pod kołami pociągu. Ukończony uczeń II. roku seminaryum nauczycielskiego w Rudniku, Alojzy Jarosławski, wracał koleją do domu w Radziechowie. Przez pomyłkę wsiadł jednak w Rzeszowie do innego pociągu, aniżeli zamyślał. Dopiero w pociągu spostrzegł swą omyłkę. Obawiając się kary, jaką mu groził konduktor, wyskoczył z wagonu, gdy pociąg przejechał most na Wisłoku. Tu, upadłszy na kupę szutru, okaleczył sobie w straszny sposób twarz całą; tymczasem koła pochwyciły obydwie nogi i wlokąc przez 20 progów, odcięły je od tułowia. Stało się to w nocy w ubiegłym tygodniu, ze środy na czwartek, o godzinie 1. Nad ranem o godzinie pół do 6 znaleziono zwłoki jego na torze i dano znać do stacyi, poczem zabrano trupa nieszczęśliwego chłopca do kostnicy.

Odważna nauczycielka. Do mieszkania jednej z nauczycielek we wsi Kościelec, pod Chrzanowem, usiłowali wtargnąć przez okno złodzieje, którzy poprzednio dopuścili się kradzieży w sąsiedztwie. Obudzona ze snu nauczycielka chwyciła za rewolwer i poczęła strzelać. Włamywacze, widząc odwagę napadniętej młodej panny, znikli w mroku nocy.

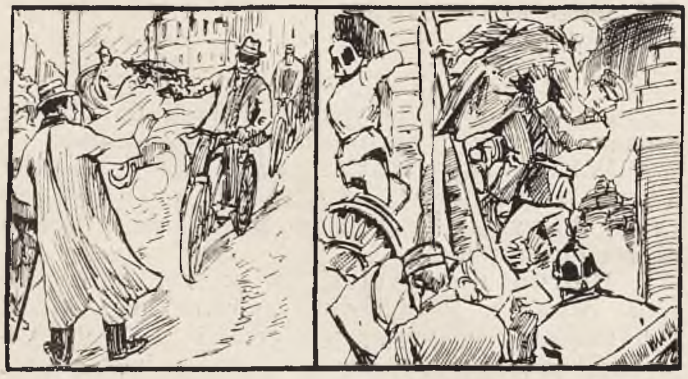
Pożar w Trzebownisku. W zeszłym tygodniu we środę wybuchł w Trzebownisku wielki pożar, który ogarnął zabudowania dworskie, własność p. Jędrzejowicza ze Staromieścia. Rozszerzaniu się pożaru zapobiegły straże pożarne ze Staromieścia i Zaczernia, mimo to spaliło się kilka stajen i domów dworskich.

Bliźnięta syamskie. Opisywaliśmy niedawno ludzi zrośniętych ze sobą, których nazywają braćmi lub siostrami syamskiemi. Niedawno urodziła się na Morawie, w polu, cygance Magdalenie Herak taka para bliźniąt zrośniętych zupełnie ze sobą.



Jedno z nich miało skórę śniadą, cygańską, drugie białą, jak wszyscy Europejczycy. Przy ostatnich żebrach zrośnięte były ze sobą całkowicie, tak, że biodra i nogi posiadały wspólne. Oprócz tego na krzyżu miały trzecią nogę, ze sześciu palcami. Płeć tych bliźniąt nie dała się określić. Prawy bliźniak miał 42 centymetry długości i był krzykliwy, lewy mierzył 37 centymetrów i ani razu się nie odezwał, a tylko ruchami rąk i nóg dawał znak, że żyje. Po czterech dniach bliźnięta zmarły, na swoje szczęście, bo coby to było za życie z takiemi kalectwami? Zwłoki ich przywieziono jako osobliwość do muzeum lekarskiego w Pradze.

Niezwykle zuchwały napad bandycki wykonano przed tygodniem we Frydbergu, bogatem mieście w Hesyi, w Niemczech południowych. W biały dzień w oczach policyi wszedł jakiś człowiek do gmachu magistratu i rzucił bombę w jednej ze sal. Huk wstrząsnął powietrzem, tuman dymu zasłonił wszystko, a gdy opadł, zobaczono, że cała część gmachu jest zburzona. Z pod gruzów wydobywały się rozpaczliwe jęki ranionych odłamkami murów i bombą.



Przestrach i poruszenie nieopisane zapanowały w całem miasteczku. W jednej chwili tłumy zbiegły się na miejsce zamachu, ludzie wybiegali z biur i warsztatów, każdy porzucał zajęcie, byle przekonać się, co się stało i nieść ratunek potrzebującym tegoż.

To samo zrobili też urzędnicy Banku państwowego, położonego tuż obok magistratu: bióra banku opróżniły się, pozostał jeden kasyer, któremu oczywiście nie wolno pod żadnym pozorem opuszczać powierzonego mu majątku. Gdy tylko opróżnił się budynek kasy, a stało się to w parę minut po wybuchu, wpadł do biura młody człowiek z twarzą osłoniętą czarną maską, strzelił z rewolweru do kasyera, chwycił za leżącą najbliżej paczkę pieniędzy, wybiegł na ulicę i wsiadł na rower. Jednakowoż ludzie usłyszeli strzały i puścili się w pościg za zuchwalcem, który zaczął strzelać i ranił kilku ludzi. Nie miał jednak szczęścia, bo na zakręcie ulicy rower jego zawadził o kamień i wywrócił się a bandyta runął na ziemię. W chwili gdy ludzie doskakiwali do niego i chwytali go w ręce, nie chcąc się dać pojmać, skierował do siebie lufę rewolweru i pozbawił życia zbrodniczego.

Tymczasem prowadzono ratunek na miejscu wybuchu w ratuszu, gaszono ogień i wynoszono rannych. Nie ulegało wątpliwości, że była to zmowa, że jeden człowiek rzucił bombę w magistracie i uciekł, a drugi skorzystał z zamieszania, aby okraść kasę banku. Policya zaczęła więc śledzić owego wspólnika nieżyjącego już zbrodniarza i po paru dniach znalazła go daleko, w Hamburgu. Tak to jeden przypłacił odrazu życiem swoją zbrodnię, ginąc od własnej kuli rewolwerowej a drugi poczeka trochę i zginie także, na stryczku.

Skazanie truciciela. Ogłoszono już wyrok sądu wojennego na porucznika austryackiego Hofrichtera, który to chciał otruć mnóstwo oficerów sztabowych, aby osiągnąć przez to wyższy stopień dla siebie samego. Wyrok opiewa na wydalenie ze służby i 20 lat ciężkiego więzienia.

Nagus na drzewie. Ogromne zbiegowisko wywołał na jednej z największych ulic wiedeńskich następujący wypadek: Chodzący po ulicy na służbie policyant zauważył nagle coś białego między gałęziami drzewa, rosnącego na ulicy. Podszedł bliżej i spostrzegł, że jest to całkiem nagi człowiek! W jaki sposób potrafił on dostać się tam, nie zwróciwszy na siebie uwagi tłumów ludzkich, chodzących po ulicy, to pozostanie zawsze zagadką, okazało się bowiem, że jest to człowiek obłąkany i dogadać się z nim nie można. Dlatego też na wszelkie nawoływania policyanta, na jego groźby i prośby, nie zwracał całkiem uwagi i drapał się dalej po gałęziach jak kot. Wreszcie musiano sprowadzić strażaków ogniowych, którzy przynieśli drabinę i sprowadzili gwałtem waryata na ziemię, odziali go w płaszcz i odwieźli do szpitala obłąkanych. Wielu ludzi zebrało się na miejscu niezwykłego wydarzenia, i przyglądało dziwowisku.



Rozsądny zwyczaj. Obecny król angielski, gdy był jeszcze tylko następcą tronu, wprowadził bardzo rozsądny zwyczaj. Gdy bowiem spędzał wieczór w jakimś klubie, nie pił żadnego trunku, tylko ciepłe mleko. Przykład ten z góry tak podziałał, że wielu panów, którzy dawniej pili wódkę, piją teraz tylko ciepłe mleko i dobrze na tem wychodzą, bo nie zawróżą sobie głowy i nie tracą nadarmo pieniędzy. Jakby to dobrze było, żeby ten zwyczaj rozszerzył się i u nas wśród wszystkich warstw ludności.

Wstręt do pracy powodem zbrodni. W Sunderland, w Anglii, rozegrał się okropny dramat, którego powodem był wstręt do pracy. Żył tam od dłuższego czasu niejaki Wiliam Jones, który całą siłą duszy nienawidził pracy. Od lat trzech już nie pracował, żyjąc z zarobków żony. Pewnego dnia przechodnie znaleźli go leżącego z przeciętem gardłem na krwią ociekających schodach, wiodących z domu, w którym mieszkał, na ulicę. Jonesa przewieziono do szpitala, gdyż żył jeszcze. Gdy udano się do jego mieszkania, ujrzano tam zwłoki żony i dziecka, leżące na łóżku z głowami potrzaskanemi młotkiem, na podłodze zaś zwłoki jeszcze trojga dzieci. Na poplamionej krwią ścianie widniał nakreślony palcem, umaczanym we krwi, napis: »Zemsta jest słodka«. Jak zbadano, Jones sam dopuścił się tej zbrodni, a mścił się za to, że się mu pracować nie chciało. Żal poczuł dopiero w drodze do szpitala, gdyż ciągle powtarzał: »Dlaczego to uczyniłem?«

Ojciec i syn razem zdawali egzamin. Są ludzie, którzy w młodości nie chcą, albo nie mogą się uczyć, a dopiero w późniejszym wieku poznają, że teraz bez nauki życie nic nie warte. Do takiego przekonania przyszedł też niejaki Wanatla w Ameryce, który, licząc lat 46, zasiadł do egzaminu w uniwersytecie w Missouri. Równocześnie z nim zdawał taki sam egzamin jego syn liczący 23 lat. Egzamin zdali obydwaj, choć ojciec uczył się lepiej, gdyż naukę skończył za trzy lata, a syn za cztery, a do tego ojciec zdał egzamin z odznaczeniem.

Okropne upały panują obecnie we wschodnich okolicach Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki. W wielkich miastach ludność okropnie cierpi od gorączki. Gromady biedniejszych nocują w ogrodach i parkach publicznych. Lazarety są przepełnione. Jednego dnia zmarło w Nowym Jorku 8, w Filadelfii 15, w Baltimore 5, a w Pittsburgu 8 osób skutkiem porażenia słonecznego.

Drogi obraz. Pisaliśmy niedawno do jak wielkich sum pieniężnych dochodzą czasem obrazy znakomitych malarzy, po ich śmierci zazwyczaj. Niedawno sprzedano taki obraz, sławnego francuskiego malarza nazwiskiem Manet, za 100.000 koron. Obraz jest podwójnie cenny, gdyż nietylko jest dziełem bardzo pięknie malowanem przez sławnego malarza, ale nadto przedstawia historyczną scenę, która przed laty była bardzo sławną w Europie i Ameryce.



Mianowicie w roku 1867 Meksykańczycy, mieszkający na południe od Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, wybrali cesarzem arcyksięcia austryackiego Maksymiliana, brata cesarza Franciszka Józefa. Po jakimś czasie wybuchło powstanie, i cesarz meksykański dostał się w ręce powstańców, którzy go w okrutny sposób rozstrzelali bez sądu, za to tylko, że był cesarzem. Na wieść o tem małżonka jego, cesarzowa Karolina ze zmartwienia dostała pomieszania zmysłów. Przewieziono ją do Europy, i tu żyje dziś, doszedłszy podeszłego wieku, ale nieprzytomna. Ów sławny, drogi obraz, którego rysunek tu podajemy, przedstawia chwilę rozstrzelania nieszczęśliwego cesarza.

Skamieniały las. Drzewa skamieniałe napotykać można we wszystkich stronach świata, jednak nigdzie nie znajdują się w tak wielkiej ilości, jak w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, zwłaszcza w dawnej krainie apaszów, w stanie Arizona. Spotkać tam można całe lasy skamieniałe. Spoczywają przeważnie w piasku, w głębokości kilku metrów.

Czasami wiatry i burze gwałtowne, czasami znów ręka ludzka wydobywa je stamtąd. Jakim sposobem drzewa te skamieniały? Uczeni profesorowie dają na to rozmaite odpowiedzi, całkiem różniące się między sobą. Najprawdopodobniejszem jest przypuszczenie, że kiedyś w owych lasach przedpotopowych wytryskały z pod ziemi źródła gorące, z wodą, zawierające rozmaite krzemiany (kamienie) w stanie rozpuszczonym. Podmyte wodą drzewo padało, a krzem wdzierał się w komórki drzewa; gdy woda wyparowała, krzem został w drzewie, które w ten sposób w kamień się zamieniło. Pomiędzy drzewami znajdują się gatunki iglaste, podobne do naszej sosny.

PRZYSZŁY NUMER „ROLI" POŚWIĘCONY BĘDZIE CAŁKOWICIE PAMIĘTNEJ ROCZNICY ZWYCIĘZTWA POD GRUNWALDEM NAD ZAKONEM KRZYŻACKIM W ROKU 1410. DLA UCZCZENIA TEJ ROCZNICY WYDAMY OBSZERNY, OZDOBNY NUMER Z BARDZO WIELOMA OBRAZKAMI. OPRÓCZ TEGO KAŻDEMU CZYTELNIKOWI OFIARUJE REDAKCYA „ROLI" JAKO PODAREK GRUNWALDZKI MAŁĄ KSIĄŻECZKĘ, KTÓRA DOŁĄCZONA BĘDZIE DO KAŻDEGO NUMERU.

Zagadki do nagrody.

1. ZAGADKA.

(Nadesłał W. Nowacki z Ch.).

Wprost mnie pijają
A wspak stawiają.

2. SZARADA.

(Nadesłał Józef Kuzio z B.).

Drugi jest Adama potomek
Znany palestyński ziomek
Pierwsza litera często używana,
Całość roślina często przeklinana.

3. ŁAMIGŁÓWKA.

(Nadesłał Mateusz Zięba z O. B.).

1	1	1	1	1
2	2	2	2	2
3	3	3	3	3
4	4	4	4	4
5	5	5	5	5

Wyżej podane cyfry tak poprzestawiać, aby dodane do siebie czy to w szeregach poziomych, czy w kolumnach pionowych, a nawet w przekątnych, zawsze dały sumę 15.

Za dobre rozwiązanie przeznaczamy obraz kolorowy Wojciecha Kossaka p. t. **„Drapieżny lennik: Hołd pruski 1641"** o rozmiarach 48 cm. × 29 cm., nadający się do oprawy w ramy. Nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin nadsyłania rozwiązań do 16 lipca b. r. Adres: **Kraków, ul. św. Tomasza l. 32. Redakcya *Roli*.**

Znaczenie zagadek z nru 25 *Roli*: 1. Szarada: **Wrzesień**, 2. Zagadka: **Dzwon**, 3. Zagadka: **Wtenczas, gdy zająca pies kąsa**, 4. Zagadka: **Róża**.

* * *

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali PP.: Wincenty Cechowy z P., Jan Sieńczak z B., Józefa Hirszberg z K., Fr. Migdał z S., Adela Bezokówna z K. m., Michał Pietryka z B., Piotr Kiczek z G., Michał Dudek z Ż., R. Suchodolski z M., W. Nowacki z Ch.

* * *

Nagrodę p. t. ***Pioruny i błyskawice*** wylosował p. **Wincenty Cechowy** z P.

Odpowiedzi Redakcyi.

PP.: Jan Prąda w Ł.: Jeden tylko nadesłał prenumeratę — dwóch nie. J. Traczowi *Rolę* wysyłamy. — Stanisław Wiethy w G.: *Rolę* z czekiem wysłaliśmy. — Jędrzej Goleniec w L.: Aż miło czytać tak serdeczne słowa, więc też jesteśmy szczerze wdzięczni. W tej drugiej sprawie, to wszystko zależy od Rady gminnej. Gdzie Rada mądra, to uchwali mądrze, gdzie głupia, tam sama sobie będzie winna. My robimy, co możemy, aby choć w niektórych gminach było dobrze. — Piotr Kiczek w G.: W niektórych chorobach leczą lekarze elektrycznością, więc im trzeba ufać, reszta to blaga i wyzysk. — Jan Szablowski w M. k.: Wystarczy — dziękujemy. — Jan Łojek w R.: Komplet z ubiegłego roku kosztuje 4 kor. — Stanisław Rozkuszka z S.: Numera od początku roku chętnie wyślemy, gdy otrzymamy jeszcze 2 kor. za pierwsze półrocze. Przecież za jedną koronę przez trzy kwartały pisma nie można posyłać, gdyż sama poczta prawie tyle kosztuje. — Kazimierz Szymański w P.: Zagadki wydrukujemy. »Pioruny i błyskawice« poszły, niestety, gdzieindziej. — Leon Łętowski w S.: Cieszy nas uznanie dla *Roli*. Jasna rzecz, że kłótnie i wyzwiska nikomu szczęścia nie przysporzą. Gdy wszyscy nabędą prawdziwej oświaty, wtedy bez żadnych krzykaczy poznają, kto im źle a kto dobrze życzy. Jest jeszcze dużo takich, którzy wolą czytać karczemne wymyślania i potwarze na najzacniejszych nieraz ludzi, aniżeli rzeczy pouczające i uczciwe. — Jan Babula w W.: Za wiadomości dziękujemy — są w numerze. — Władysław Ćwieka w T.: Za dwie korony będzie *Rola* przychodzić równiuteńkie pół roku, więc łatwo obliczyć dokąd będzie przychodzić. Aby uzupełnić prenumeratę trzeba przysłać jeszcze koronę, a będzie do końca roku. Pierwszą zagadkę wydrukujemy, drugą trza poprawić. — Jakób Gniewek w W.: Na okaz wysłaliśmy, prosimy o prenumeratę, gdyż na kredyt trudno posyłać. — Wojciech Dudek w J.: Stosownie do życzenia wysyłamy. — Mik. Wyżykowski w R.: Za życzliwość serdecznie jesteśmy wdzięczni, ale obraz musieliśmy po sprawiedliwości komu innemu przyznać. Sam pan miałby nam za złe, gdybyśmy inaczej postępowali. Łączymy pozdrowienia. — Wawrzyniec Kaczmarczyk w K. H.: Wysyłamy i dziękujemy. — Jau Babik w M.: Korespondencya w numerze — dziękujemy. A możebyśmy mogli otrzymać jedno zdjęcie kosynierów? — Marcin Wójcik w J.: Dobrze. — Franciszek Markowicz w S.: Poprzednich reklamacyj nie otrzymaliśmy — obecnie wysyłamy. — Mateusz Pawłowski w P. i Antoni Gancarczyk w J.: Gdybyście sobie panowie życzyli numera od początku roku, z początkiem ciekawych powieści »Krzyżacy na Litwie« i »Tajemnice morza« oraz z całą powieścią z obrazkami p. t. »Wzrok ofiary«, to prosimy przysłać 4 kor., a numera od Nowego Roku poślemy opłatnie i *Rolę* do końca roku posyłać będziemy.

W dalszym ciągu prenumeratę nadesłali PP.: Walenty Tadla z D. (2 K.), Władysław Ćwieka z T. (2 K.), Jan Szablowski z M. k. (2·40 K.), Stanisław Rozkuszka z S. (1 K.), Jan Burdel z P. (2 K.), M. Koniakowski z P. (2 K.), Włodzimierz Czernecki z S. (2 K.), Marcin Hop z S. (2 K.), Jan Kozak z S. (2 K.), Ks. W. Rogoziewicz z U. (2 K.), M. Adamski z G. (2 K.), St. Wiethy z G. (2 K.).

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 5 lipca:

Buhaje	Kor.	120	do	260	za sztukę
Woły	„	200	„	320	„
Krowy	„	170	„	240	„
Jałówki	„	90	„	160	„
Cielęta	„	24	„	80	„
Świnie (bita waga)	„	154	„	168	za 50 kg.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w dniu 5 lipca:

Pszenica	Kor.	10·75	do	11·40	za 50 kg.
Żyto	„	7·60	„	7·90	„
Jęczmień	„	7·25	„	7·75	„
Owies	„	7·75	„	8·—	„
Otręby pszenne	„	4·60	„	4·75	„
Otręby żytnie	„	4·50	„	4·65	„

Przy zamówieniach prosimy powoływać się na ogłoszenia »Roli«.





— Czy to prawda, kumo, że wasz mąż skazany został za podpalenie domu?

— Chcecie, moi drodzy, teraz nastały takie głupie czasy, że człowiekowi nie wolno jest nawet robić ze swoją własnością co mu się podoba.

Ksiądz: Cóż to Janie? od śmierci żony ciągleś pijany.

Jan: Jegomość, bo tylko w wódce znajduję pocieszenie.

Ksiądz: A długo tak będzie?

Jan: Kiej, Jegomość, ja niepocieszony.

Kasia: Proszę też jegomości, aby nam już raz dali ślub.

Ksiądz! No, ale kiedy twój narzeczony całkiem pijany?

Kasia: W tem właśnie rzecz, bo jak będzie trzeźwy, to się nie ożeni.

Wydawcy: Dr Jan Hupka i Jan Kaczak. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.

Drukarnia „Czasu“ w Krakowie, pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.